

Wakacje z mułłami – cz. 16

2 lutego 2008

Spaliśmy nieprzytomnie po męczącym i nieprzyjemnym dniu, a rano okazało się, że i pogoda znów obróciła się przeciw nam. Piękna panorama ośnieżonych gór za oknem zniknęła w chmurach i leje jak z cebra. Krzysiek wykręca kilka razy numer australijskiej ambasady, ale nikt tam nie odpowiada, widać wciąż jeszcze świętują. Próbujemy dodzwonić się do naszej znajomej Angielki z Kerman, w ambasadzie angielskiej, z takim samym skutkiem. No cóż, wpadłszy między wrony... dyplomaci i urzędnicy korzystają z okazji by mieć więcej dni wolnych od pracy.

Nie ma sensu nudzić się w hotelu, postanawiamy pojechać do muzeum perskich dywanów, które podobno jest otwarte, mimo święta. Wsiadamy do autobusu jadącego w tamtą stronę, po dość długiej jeździe, wysiadamy w strumieniach deszczu na jednokierunkowej ulicy, licząc na złapanie taksówki, która zawiozła by nas na miejsce. Niesamowicie!!! Na ulicach nie ma żadnych taksówek, prawie pusta jezdnia. Nie ma sensu stać na deszczu, ruszamy piechotą, zerkając za przejeżdżającymi z rzadka autami. Takim to sposobem doszliśmy, z lekka przemoczeni, do samego muzeum, które na szczęście było otwarte.

Mieści się w dużym, nowoczesnym, dwupiętrowym budynku, w niewielkim parku i zdecydowanie poprawiło nam humor, bo dywany były wspaniałe. Sala za salą pełne przepięknych kobierców, rozłożonych na platformach, wiszących na ścianach i u sufitu, co cenniejsze okazy za szkłem, wszystkie oświetlone punktowymi lampami, ze świeżymi kolorami, jarzącymi się jakby własnym wewnętrznym światłem, mimo upływu, często setek lat od ich utkania. Każdy to arcydzieło sztuki tkackiej. Niektóre są jak okna wychodzące na bajkowe ogrody, pełne roślinności, kwiatów i fantastycznych zwierząt i ptaków. Inne ze scenami z życia dworskiego, jeszcze inne z oknami do Raju. Obok kilimy

koczowników z motywami geometrycznymi. Zadziwia ogrom pracy i wysiłku włożony w utkanie tych cudów, niektóre z nich mają po 80 węzełków na cm², wykonanie ich często trwało miesiące a nawet lata i często zdobiły pałace i namioty królów i wielmożów. Najstarsze są z 14 wieku i, choć trochę miejscami wyleniałe, zachowały żywość kolorów, dzięki naturalnym barwnikom, użytym do farbowania wełny i jedwabiu, z których je zrobiono. Spędziliśmy cały ranek podziwiając tę wspaniałą kolekcję.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz trochę się wypogodziło, ale nie na tyle, żeby spacerować po mieście. Złapaliśmy taksówkę i wróciliśmy do hotelu wysuszyć się trochę przy kaloryferze. Po lunch'u poszliśmy do znajomej kawiarni Internetowej sprawdzić pocztę i wysłać oficjalne zażalenie do naszej ambasady, potem resztę dnia spędziliśmy w hotelu.

Święta przeszły i dzisiejszy dzień zadecyduje czy odlecimy jutro rano, czy też trzeba będzie jakoś przedłużyć nasze wizy, co po ostatnich doświadczeniach nie wydaje się już tak atrakcyjne i warte zachodu. Trzymamy kciuki, że będą wolne miejsca w samolocie i dostaniemy bilety.

Wybieramy się na poranną wycieczkę do biura podróży, z którym byliśmy w kontakcie internetowym i gdzie okazało się, że miejsca są, a bilety już na nas czekają. Poprawiło nam to znacznie humory. Po południu poszliśmy na bazar, gdzie błądziliśmy przez godzinę po kilometrach ciasnych uliczek i galerii między straganami i sklepami. Nawet te ich piękne wyroby nie robią na nas takiego wrażenia jak cztery tygodnie temu. Chyba jesteśmy już zmęczeni Iranem i czas na powrót do europejskiej cywilizacji i stylu życia.

Po drodze do hotelu zajrzeliśmy na Internet, odezwała się nasza ambasada. Napisali, że ostatnio maja tyle zgłoszeń incydentów napastowania turystów australijskich przez prawdziwą i udawaną policję, że są zmuszeni wystąpić z oficjalnym protestem do rządu irańskiego. Może jest to

związane z wojną w Iraku, a może po prostu spowodowane wzrostem liczby złodziejasków, szukających łatwego zarobku. Może też niektórym policjantom sprawia frajdę szykanowanie zachodnich turystów. Wielkiej satysfakcji nam to nie daje, ale dostaliśmy zaproszenie na „garden party” do ambasady, w rocznicę Anzac Day, 25 kwietnia, ale skoro wyjeżdżamy, nie będziemy mogli pójść. Po powrocie do hotelu udało nam się wreszcie dodzwonić do ambasady brytyjskiej i umówić się z Angielką do restauracji na wieczór. Poszliśmy z nią do jednego z lepszych hoteli, gdzie zjedliśmy przyzwoity obiad, a potem przy herbacie i ciastkach wymieniliśmy wrażenia i relacje o przygodach z podróży.

Nasza ostatnia noc w Iranie. Z okna hotelu podziwiamy po raz ostatni ośnieżoną panoramę majestatycznych gór Albruz na horyzoncie. Wypogodziło się na dobre i w promieniach zachodzącego słońca wyglądają przepięknie, a iskrzący się biały śnieg wprost razi oczy. Plecaki mamy już spakowane, jutro rano wystarczy tylko upchać do bocznych kieszeni podkoszulki do spania i toaletaria i jesteśmy gotowi do drogi. Podekscytowani przed podróżą nie mogliśmy jednak długo zasnąć, wiercąc i przewracając się w łóżkach. Na dodatek robiło się znów ciepło, kaloryfery grzeją jednak dalej i nie można ich zakręcić, a gdy otwarliśmy okno, bo nie dało się z gorąca wytrzymać, do środka wleciały chmary komarów. Krzysiek wskoczył w ubranie i udał się na poszukiwanie jakiegoś sklepiku, by znaleźć coś czym można byłoby przyczepić firanki do framugi okna i zrobić z nich siatkę przeciwkomarową. Wrócił z paczką spinaczy biurowych. Nie bardzo się do tego celu nadawały, ale jakoś trzymały firankę u framugi. Urządziliśmy potem wielkie polowanie, trochę bestii wybiliśmy, a reszta gdzieś się zapodziała. Spaliśmy jednak bardzo źle, budząc się co chwilę i oczekując rana.

Na lotnisku mieliśmy być o siódmej, co oznaczało, że nawet przy najlepszej organizacji należało wstać nie później niż o szóstej rano. Na szczęście recepcja zrozumiała o co ich

wieczorem prosiliśmy i zrobiła nam pobudkę punktualnie. Kuchnia była jeszcze zamknięta i nie było szans na normalne śniadanie. Poprosiliśmy o kilka placków chleba w zamian, które zjedliśmy popijając wodą z butelki, podczas gdy recepcjonista organizował dla nas transport.

Długo to trwało, bo przywołał jakiegoś znajomego, zamiast pierwszą lepszą taksówkę. Wreszcie ten jednak przyjechał i zawiózł nas na lotnisko, jak w Dubai, do drugorzędnego terminala, skąd odprawiano loty pomniejszych linii lotniczych. Znow osobne wejścia dla kobiet i mężczyzn. Na szczęście w tym terminalu był pełny luz i nikt mnie nie obmacywał. Zostało nam trochę riali, które należało wymienić na jakąś międzynarodową walutę, jako że poza Iranem są zupełnie bezwartościowe. Przed lotniskiem był spory bank, ale nie dało się do niego wcisnąć palca, tak był wyładowany ludźmi. Co oni tu mają za system, że co drugi biurowiec to bank, wszystkie pełne interesantów, ale pieniądze ciężko wymienić. Na szczęście w pobliżu był też w niewielkim kiosku, a raczej budzie, kantor. Nie mieli armeńskich dramów, o które najpierw zapytaliśmy, ale wymienili nam riale na dolary. Końcówka, której nie dało się wymienić wystarczyła nam w sam raz na pożegnalne soczki z kwaśnych wiśni.

Wróciliśmy na lotnisko, gdzie w poczekalni powoli zaczęło robić się tłoczno. Wzięliśmy miejscówki, przeszliśmy przez emigrację, a kiedy przyszła pora odlotu podwieziono nas autobusem do dalszej części lotniska, gdzie stał stary Tupolew 154. Patrzyliśmy na niego z lekkim strachem, bo nie wyglądał na zbyt zadbany i różnił się znacznie od samolotów, którymi przywykliśmy latać. Mieliśmy nadzieję, że nie rozleci się gdzieś w powietrzu.

Dostałam miejsce przy oknie, obok siedział Krzysiek, a za nim jakiś Irańczyk, który zaraz przedstawił się, jako jeszcze jeden Mr Ali i wdał się z nami w rozmowę. Tuż przede mną było wyjście awaryjne, koło którego nie było siedzenia (trudno wyczuć czy tak powinno być, czy zostało wyrwane), za to leżała

tam ogromna góra kłopotów – worków i pakunków, o zdecydowanie handlowym charakterze. Gdy rozejrzeliśmy się dyskretnie po samolocie, zauważyliśmy, że podobne stosy towarów poupychane są we wszystkie możliwe miejsca. Krzysiek półżartem zapytał Alego czy jest pewne, że dolecimy na miejsce w całości. Po drodze na pas startowy wyglądaliśmy przez okna na antyczne samoloty wojskowe, produkcji amerykańskiej, jeszcze z czasów Szacha, które wciąż jeszcze stanowią trzon irańskiego lotnictwa wojskowego.

Samolot wystartował punktualnie co do minuty, gładko i bez żadnych problemów. Patrzyliśmy z żalem, zmieszanym z ulgą, jak Teheran zmałał za nami do rozmiarów mapy, aż zniknął pod chmurami. W ciągu tego miesiąca mieliśmy kilka przykrych chwil, ale najwięcej przyjemnych i chcielibyśmy przyjechać tu jeszcze raz. Może kiedyś, Inszallah.

– Żegnaj Iranie!!!

Koniec części szesnastej i ostatniej.

Autorzy: Teresa & Krzysztof

Źródło: [Alternatywa](#)